

# Wyspa

KWARTALNIK  
LITERACKI

nr 2 (22) lipiec 2012

Krzysztof Lisowski  
Jan Tomkowski  
proza

Eda Ostrowska  
Michał Jagiełło  
poezja

Beata Szulecka  
Małgorzata Mostek  
esej

Tadeusz Gaworzewski  
rysunki

Mirosław Bańko, Marek Czuku,  
Michał Dąbrowski, Janusz Drzewucki,  
Jerzy Górzeński, Gabriel L. Kamiński,  
Grzegorz Kwiatkowski, Rafał Qr,  
Karol Maliszewski, Kamila Sowińska,  
Teresa Tomsia, Piotr Wojciechowski

ISSN 2083-7720 cena 9,99zł (w tym 5% VAT) nakład 1000 egz.





ISSN 2083-7720  
nr 2 (22) lipiec 2012

**www.kwartalnik-wyspa.pl**

**Redaktor naczelny:** Piotr Dobrołęcki  
dobrolec@warman.com.pl

**Proza:** Aleksandra Tetera, Małgorzata Mostek,  
Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojański  
wyspa.tetera@poczta.fm

**Poezja:** Katarzyna Bienkowska, Adrian Sinkowski  
fouxpas@wp.pl

**Recenzje:** Magdalena Wojak  
magdusias7@wp.pl

**Felietony:** Jerzy Górzański, Piotr Wojciechowski,  
Karol Maliszewski, Mirosław Bańko

**Galeria:** Małgorzata Karolina Piekarska

**Kronika regionalna:** Lilla Latus  
lilla.latus@neostrada.pl

**Cyfel:** Dagmara Ciećwierska, redaktor naczelna  
Współpraca: Olgierd Dokalski

**Adres redakcji:** 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8  
www.kwartalnik-wyspa.pl

**Sekretarz redakcji:** Daria Dobrołęcka  
wyspa@rynek-ksiazki.pl


**Opracowanie plastyczne:** Urszula Dulewicz

**Opracowanie graficzne:** Stanisław Małecki,  
Grzegorz Zychowicz

Ilustracje w tekście i na okładce autorstwa  
Tadeusza Gaworzewskiego

**Skład:** Tatsu  tatsu@tatsu.pl

**Druk i oprawa:** OZGraf  
Olsztyńskie Zakłady Graficzne S.A.

**Wydawca:** Biblioteka Analiz Sp. z o.o.   
Przewodniczący: Łukasz Gołębiowski

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 0801 205 555), a także przez stronę internetową Kwartalnika Literackiego WYSPA.

## PROZA

Krzysztof Lisowski	
Wiosną na Sycylii . . . . .	3
Jan Tomkowski	
Pamiętniki dinozaurów (fragmenty) . . . . .	10
Teresa Tomsia	
Z szarego notatnika cz. II. . . . .	52
Gabriel L. Kamiński	
Pani Czerwenkowa . . . . .	66
Michał Dąbrowski	
Trangresja (fragment) . . . . .	90

## POEZJA

Eda Ostrowska	
*** W krzyku syna . . . . .	6
*** Wróć duszo . . . . .	6
*** Pijana księżycowym . . . . .	6
*** Hej ty z wysokości . . . . .	8
*** Ach mój syn . . . . .	8
*** Chrześci . . . . .	8
*** Dzień . . . . .	9
*** Toczy się . . . . .	9
*** Wór z wiatrem . . . . .	9

Michał Jagiełło

Spowiedź o zagrodzie . . . . .	22
Nie wchodzi do tego strumienia . . . . .	22
Ukojenie . . . . .	23
Bezradność . . . . .	24
W podróży . . . . .	24
W ucieczce . . . . .	25
Bez odzewu. Modlitwa . . . . .	25

Marek Czuku

Z jasności . . . . .	32
Wenecja . . . . .	32
Cienie . . . . .	34
Wiosna . . . . .	34
Banany . . . . .	35
Upał . . . . .	35

Grzegorz Kwiatkowski

Ernst Becker-Lee, ur.1905 zm. 1940 . . . . .	58
Walter Steiner, ur. 1951 . . . . .	58
Catherine Blake, ur. 1762, zm. 1831 . . . . .	60
Buzia Wajner, ur. 1937, zm. 1943 . . . . .	60
Dekret . . . . .	61

## ESEJ

Beata Szulęcka	
Eksperymenty ku wyzwoleniu . . . . .	36
Małgorzata Mostek	
Romantyzm wraca do teatru, tylnymi drzwiami . . . . .	46
Kamila Sowińska	
Zagraniczne podróże i miejsca pobytu Marka Hłaski. Część II . . . . .	78

# Spis treści

Janusz Drzewucki Albo to nie, albo to tak . . . . .	62	Jakub Skurtys Wrózenie z fusów i inne mantry na koniec trasy Paulina Korzeniewska, „Usta Vivien Leigh” . . . . .	143
<b>WYWIAD</b>		Wojciech Chmielewski Zakochany erudyta Jan Tomkowski, „Nie ma Pauliny” . . . . .	145
Monika Żeromska Mgły nad łęgami Rozmawiała Ewa Zdrojkowska . . . . .	27	Irena Knapik-Machnowska Emocje i obrazy świata Teresa Tomsia, „Kamyki. Elegie i krótkie żale” . . . . .	147
<b>FELIETON</b>		Magdalena Wojak Przez dziurkę od klucza Leszek Szaruga, „Kanibale lubią ludzi” . . . . .	149
Jerzy Górzeński Gęšina się wspina . . . . .	106	Ryszard Kołodziej Miron tekst Tadeusz Sobolewski, „Człowiek Miron” . . . . .	151
Piotr Wojciechowski Gadanina to nie rozmowa . . . . .	108	Justyna Kasperek Remanent podróży Grzegorz Wróblewski, „Pomyłka Marcina Lutra” . . . . .	152
Karol Maliszewski Jak Pan Jezus z Hedorą wojował . . . . .	112	<b>KRONIKA</b> . . . . .	158
Mirosław Bańko Polska droga . . . . .	114	<b>KRONIKA REGIONALNA</b> . . . . .	162
<b>NOWE NAZWISKA</b>		<b>NASI AUTORZY</b> . . . . .	170
Marta Maciejewska Jestem kablem . . . . .	96	<b>CYPEL</b>	
*** . . . . .	96	Wojciech Kwapiński O modernizmie w filozofii Witkiewicza raz jeszcze . . . . .	174
Jesień zawsze samotna . . . . .	96	Piotr Wojdat NEU! – tam gdzie liczy się rytm . . . . .	182
Marian Turniejow Wielki Zjazd . . . . .	98	Stefan Skrzyński Vreen – “Good luck ro-Man”. . . . .	185
<b>GALERIA NA WYSPIE</b>		Neurasja – “Neurasja”. . . . .	186
Małgorzata Karolina Piekarska Pomiędzy konkretem a abstrakcją . . . . .	116	Mordy – “Nobody” . . . . .	186
<b>PERYSKOP</b>		The Band of Endless Noise – “The Blue Nun” . . . . .	187
Piotr Dobrołęcki Z redakcyjnej poczty . . . . .	118	<b>Sprostowanie</b>	
Rafał Qr Jak nagradza się pisarzy w Wielkiej Brytanii . . . . .	127	W numerze 1/2012 Wyspy, w Notatniku wyspiarza, omyłkowo nie podpisaliśmy zamieszczonych recenzji muzycznych. Autorem był Wojciech Kwapiński. Przepraszamy!	Redakcja
<b>RECENZJE</b>			
Wojciech Kaliszewski Nasze gorzkie żale Julia Hartwig, „Gorzkie żale” . . . . .	130		
Karol Samsel Antidotum Marcin Orliński, „Płynne przejścia” . . . . .	133		
Magdalena Wojak Gra nietowarzyska Olga Tokarczuk, „Moment niedźwiedzia” . . . . .	136		
Marta Brzezińska Tanatologia codzienna Andrzej Stasiuk, „Grochów” . . . . .	138		
Marek Olszewski Słowopalenie Radosław Kobierski, „Drugie ja” . . . . .	140		

Krzysztof Lisowski

# Wiosną na Sycylii

(fragmenty mitu)

*Panu Profesorowi*

*Marianowi Szarmachowi, wielkiemu tłumaczowi starożytnych*

*Deszcze nadeszły, deszcze ustały. — Lampedusa*

*O, jakże ci zazdroścę. Nie daj się na Sycylii snom i śmierci; są bardzo zaborcze. — WK*

*Godność wypoczynku, kultura próżnowania. — Leonardo Sciascia*

Kiedy wylądowali na trójkątnej wyspie, księżę Salina doradzał odwiedzić nadmorski ogród niedaleko via Garibaldi, księgę wieczoru. I za parę dni — *Orto Botanico* w stolicy, gdzie stoją ruiny pałacu di Lampedusy, strzaskanego przez aliantów.

Rozkwitły migdałowce i drzewa pomarańczowe obsypało kwiecie. I między ciemną zielenią pokazały się w świetle nieba ścieżki w różne strony.

Ścieżka soli wiodąca do Marsali, ścieżka siarki, ścieżka oliwników i wina. Także ta, którą mnisi i uczeni szli pod świętą górę, hartując w spiekocie dusze, aby za Porta Trapani pokłonić się boskiej Afrodycie, a w nagrodę spojrzeć z jej skalistego zamku najdalej jak można w cztery strony świata, powietrza i morza. Z kamiennego gniazda Erice. To do niej przemawia Lukrecjusz w swoim poemacie. Bogini, która nosiła złote kolczyki w kształcie pszczoł, z kamieni tak czerwonych jak wybuchy gwiazd. I ubierano Panią Wrzосу w purpurową szatę.

Była też ścieżka samotności między wzgórzami, prowadząca do świątyni bezimennego boga o barwie wyblakłej ochry w Segeście, której wtóruje teatr z miejscami dla tysięcy duchów, i po nieistniejącej scenie przechadza się Hermes. Zawsze pełno go wszędzie!

Przez chwilę znów mieli być kimś w przemianie, odczuwając rozkosz w zmiennym uroku inności. Czuli tu, że naszym codziennym pokarmem jest ogień. Napełnia głodem i spala nieustannie. Bywa okrutnym gościem w ogrodach i mostem rzuconym w przestrzeń.

Wiedzieli o Demeter i Kore, ale dopiero teraz, w dziwnej intensywności stanęły przed oczami matka i córka. Jakby historia stworzenia świata nie miała jeszcze finału — działa się na ich oczach.

Nawiedziła te dwie kobiety miłość tak czuła i bliska, że Demeter nie mogła wytrzymać rozłąki. A córka znikła pewnego dnia, kiedy z przyjaciółkami zbierała narcyzy i lilie za murami Enny, na skraju bagien. Jakby zapadła się pod ziemię — mówiły.

Salina spytał nagle: nie uważa pan, że poeta od czasu do czasu także uczestniczy w misteriach? Dlatego zacieka wi was i poruszy ta historia. Bo budzą się niekiedy bogowie

i dają się ponieść ziemskiemu czasowi, pływają się w jego falach. Albo jak Demeter wymyślają dla ziemian pług i wóz zaprzężony w skrzydlate smoki.

Ale co zdarzyło się wcześniej? Demeter oszalała, rzuciła sierp, *δρέπανον* pod nogi i wyrósł półwysep nad morzem, teraz biegła przez pagórki, odchyłała bruzdy — gdzie wpadło jej ziarno? Rozgarniała gałęzie, o świcie pytała się źródeł, a o zachodzie ptaki, panujące nad rozpaloną pustacią.

Nic, niczego nie było. Dymiła tylko Etna, huczał podziemny warsztat, w którym topiły się, łączyły i zmieniały jeden w drugi elementy, składniki materii. W nocy od wysokiego ognia rozgniewanej góry odpaliła pochodnie. Z nimi wysoko nad głową, tu i tam upuszczając iskry, szukała śladów córki. Wzniecała pożary.

Tak biegła dni dziewięć i dziewięć dłużących się nocy. Potem od tego, który widzi wszystko z wysokości, dowiedziała się, że córka jest zaślubiona Panu Podziemi, i dano jej nowe imię, Persefony, to znaczy Tej, Która Przynosi Zagładę. Że próbowała już nawet jedzenia umarłych, bo rozkroiła krwisty granat i zjadła siedem ziaren.

Ale nie mogły przecież umrzeć wszystkie plony ziemi, więc z wyroku Zeusa zjawia się Persefona co roku tu, na powierzchni, jasnej skórze świata, a wtedy matka wita ją kwiatami i pozwala na odnowionych polach zielenić się zbożu pod jasnym promieniem.

Salina zniknął, a w śnie pierwszej nocy widzieliśmy pochód z kłosami, niesiono symbole bóstw i złotą lampę w kształcie łodzi, z której buchał płomień. I znów ktoś opowiadał:

*Do granicy śmierci doszedłem i progów Persefony dotknąłem. W głębokiej nocy widziałem słońce oslepiającym blaskiem jaśniejące, patrzyłem w oczy potęgom piekielnym i niebieskim potęgom. Usłyszeliście więc o tym, ale choć usłyszeliście, trzeba, abyście nie rozumieli.*

Rozsunęły się białe zasłony:

Świat podziemny może się zdawać labiryntem — powiedziała Persefona — w którym mieszkań jest wiele. Tam nawet śmierci dobrze się odpoczywa na połyskliwym puchu ciemności bez pamięci. Ogień tam nie płonie, świeci do wewnątrz. Warto to zobaczyć. A wchodzi się nisko w ciemną szczelinę, przez bramy umysłu.

Czy też wyjść można?

Tylko wtedy, gdy się połączą przyczyna ze skutkiem, źródło z ujściem rzeki.

Znaleźliśmy więc mistrza, mistagoga na najcięższą próbę, który pouczył nas w porę. Jawiły się wszystkie godziny, tamte i nowe, w pięknej, łagodnej porze przeistoczenia. W ogromnym błękanie nad tarasami miasta latały jaskółki. Do portu wpływał prom „Zeus”. Wielki „Grand Mistral” zasłaniał całą ulicę, połowę nieba.

Piliśmy wino, zwane Czerwonym Księżycem i wodę „Lete” blisko Ogrodu Przyjemności, która nie gasiła ziemskich pragnień, nie zabierała pamięci.

\*\*\*

A po dziewięciu nocach, w porze przesilenia, zobaczyliśmy wreszcie tę śliczną dziewczynę w gaju rozkwitłych oliwek, obok uli o malowanych daszkach, na tle stada owiec i czarnych koziołków. Kiedy z radosnym krzykiem ku matce biec zaczyna. Tej wiosny i każdej.



# Eda Ostrowska

\* \* \*

W krzyku syna  
jesteś barbarzyńcą  
innowiercą  
feerią powietrza  
tatarzynem

*15 września 2010*

\* \* \*

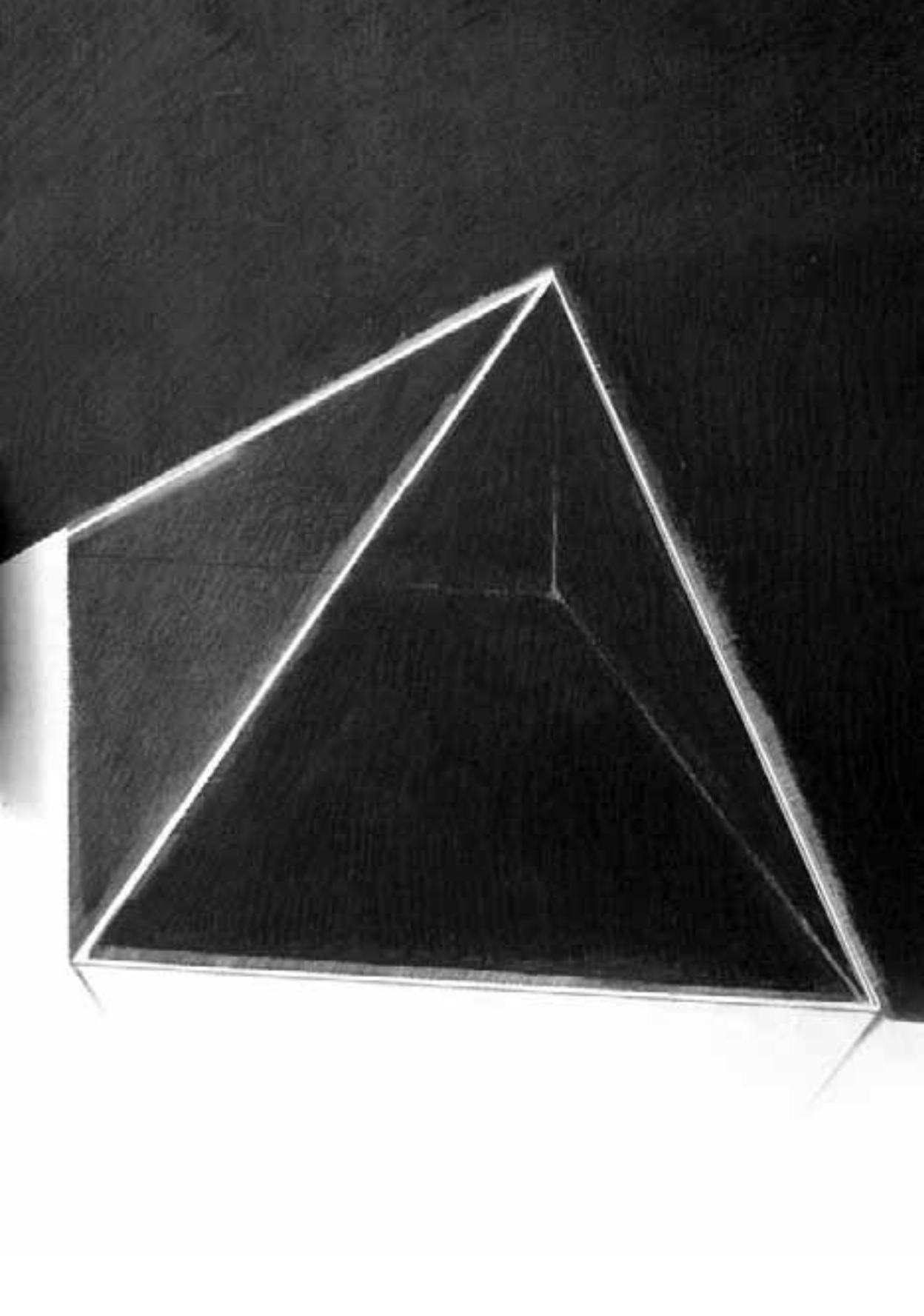
Wróc duszo  
moja do swojej  
miseczki  
jak stożek piersi  
w liliowe powoje

*22 września 2010*

\* \* \*

Pijana księżycowym  
moszczem czułością  
wielkiej erupcji  
przełądam się w duszy  
wszechświata

*20 września 2010*





\* \* \*

Hej ty z wysokości  
lampo samko  
co w sztolni  
nocy pieszczotę  
i pleśń toczysz

*24 września 2010*

\* \* \*

Ach mój syn  
z woreczkiem  
kasztanów  
w majteczkach  
czy dotknie  
szelestu życia

*24 września 2010*

\* \* \*

Chrzęści  
srebrny chrust  
z ust do ust  
podaje wieść  
kruche jest  
pragnienie  
spełnienie śmierć

*24 września 2010*

\* \* \*

Dzień  
zatrzepotał  
spadły krople  
złota  
na moje stopy

*24 września 2010*

\* \* \*

Toczy się  
moneta  
poranka  
gołąbka  
nieskalana

*24 września 2010*

\* \* \*

Wór z wiatrem  
wrzucił  
do miasta i laso  
na kudły drzew  
ten Picasso  
sztukmistrz z nieba

*25 września 2010*

Jan Tomkowski

# Pamiętniki dinozaurów

## (fragmenty)

### Wzór na literaturę

Siedzimy na ćwiczeniach z logiki matematycznej i teorii mnogości, a mój kolega biegły w sztuce zapisywania długich wzorów zapełnia już trzecią tablicę. Kreda w jego palcach leciutko skrzypi, gdy powołuje do istnienia kolejne symbole. Na naszych oczach rozgrywają się niejasne procesy, chytre redukcje, podstępne kontaminacje liter i liczb, zdumiewające metamorfozy nieznanych wartości. Nie wszystko do końca rozumiemy, lecz zaczynamy wierzyć, że nieuchronnie zbliżamy się ku jakiejś ostatecznej Tajemnicy. Zapada zmierzch, ale tkwimy nieruchomo, jak zahipnotyzowani i nikomu nie przychodzi nawet do głowy, by wstać z krzesła i zapalić światło.

Docent, który prowadzi zajęcia i z którego trochę pokpiwamy, bo w czasach kryzysu ubiera się tak jak gdyby codziennie odwiedzał operę, gładzi gęstą, czarną brodę.

Sytuacja ta nie może trwać w nieskończoność, musi nastąpić jakieś ostateczne rozstrzygnięcie.

Nagle ktoś mówi, że za pomocą naszego długiego równania otrzymamy za chwilę dowód na istnienie Boga.

Docent krzywi się i wypowiada parę inwektyw w stosunku do niepokornego metafizyka.

Wzoru na istnienie Boga przecież nie ma — nawet Kant go nie wymyślił.

Młody bohater powieści Juliusza Verne'a przypomina nam, że choć dysponując jedynie literami bardzo trudno jest ułożyć zdanie, które olśni czytelnika, jest to jednak możliwe. Bardzo prosty rachunek, skoro „z dwudziestu liter można utworzyć dwa kwintyliony, czterysta trzydzieści dwa kwadryliony, dziewięćset dwa tryliony, osiem miliardów, sto siedemdziesiąt sześć milionów, sześćset czterdzieści tysięcy kombinacji.”

I to jest właśnie wzór na literaturę.

### Można pisać albo nie

Można pisać siedząc albo stojąc przy pulpicie. Albo przechadzając się po pokoju, a jeszcze lepiej po parku — w takich razach wygodniej jest oczywiście dyktować. A więc można zostać pisarzem nie dotykając nawet rylca albo pióra!

Niektórzy piszą leżąc wygodnie w łóżku, ale nie słyszałem jeszcze, by ktokolwiek pisał wisząc na gimnastycznym trapezie.

Można pisać piórem albo długopisem. Albo nawet ołówkiem (jak czasem czynił podobno Gombrowicz). Można pisać dręcząc maszynę do pisania — wyjątkowo odporny mechanizm, który jednak czasem się psuje. Można pisać od razu na komputerze, który tylko trochę szumi, bo w zasadzie jest cichutki jak myszka.

Można pisać dodając sobie odwagi filiżanką mocnej kawy, czerwonym winem, fajką, szklanką zimnej wody, zapachem dojrzewających jabłek, widokiem zimowego ogrodu albo morskich fal. Można pisać przy otwartym oknie, gdy wiatr rozwiewa rękopis spoczywający na biurku. Można pisać w dusznym pomieszczeniu obitym korkiem — niektórym to naprawdę pomaga.

Można pisać zaraz po śniadaniu (jak Tomasz Mann). Albo przed śniadaniem (jak Paul Valéry). Albo zamiast śniadania (tak najzdrowiej). Jeszcze jak Albert Camus, który pisał, żeby nie palić (ten najmądrzejszy).

Można też w ogóle nie pisać.

Jeśli można, oczywiście.

## Gotowanie to horror

**K**upiłem małego homara uwięzionego w ogromnej bryle lodu. Zgodnie z instrukcją trzymałem dwie i pół godziny pod bieżącą wodą, aż w końcu z zamrożonej skorupy zaczął wyłaniać się najprawdziwszy stwór morski. Homar podobał mi się do tego stopnia, że byłem gotów odstąpić mu własną wannę (odławiałbym go na czas kąpieli). Zachwycał mnie jego prześliczny, pomarańczowy pancerzyk, a szczypcy wręcz prowokowały do uścisku. Mnie zresztą wszystkie formy morskie i oceaniczne bardzo się podobają — może za wyjątkiem ośmiornicy i rekina, piranii też się boję, choć wygląda raczej niepozornie.

Ponieważ homar nie dawał znaku życia, ugotowałem go i zjadłem. Potem pani Grażyna przekonywała mnie, że na pewno był tylko zahibernowany, a w ogóle podczas rozmrażania powinienem był używać słonej wody, na co przyznaję zupełnie nie wpadłem!

Przyznając się do okrucieństwa wobec zwierząt, opowiedziałem pani Grażynie inną historię, niedawno wyczytaną w książce pewnego podróżnika.

Zapewnia on mianowicie, że pewien Australijczyk (Orzeszkowa powiedziałaaby: Australczyk!) ugotował własną żonę na ogniu, który ona sama rozpałała. Ugotował i potem zjadł, rzecz jasna. Tu pomyślałem sobie, że żona mogła jeszcze pomagać przy gotowaniu i siedząc już w kotle pouczać głodnego małżonka: ależ za mało soli, zapomniałeś o listku bobkowym, wreszcie: a pietruszka na końcu!

Tak, tak, gotowanie to nic przyjemnego.

## Wycieczka do muzeum

Choć zgodnie z rozpowszechnionym stereotypem matury kojarzą się z gorączkową nauką, kwitnącymi kasztanami i młodzieńczą miłością (nie zawsze pierwszą), w mojej szkole był to raczej czas ucieczek. Szło się z lekcji na wagary — czy ja wiem? — może z poczucia bezkarności albo też rosnącej z każdym dniem tęsknoty do wolności. Klasy opustoszały, notatki w dziennikach nie robiły już na nikim wrażenia. Nauczyciele postanowili wreszcie położyć kres tym wybrykom. Wprowadzono dyżury pedagogów przy wejściu do szkoły. Odtąd nie można już było opuszczać lekcji — ani pojedynczo, ani w towarzystwie.

Któregoś dnia, gdy czekały nas akurat zajęcia z panią polonistką, zaproponowałem, byśmy ustawili się w pary i zeszli po schodach całkiem jak legalna wycieczka.

Plan był zwariowany, ale poszli wszyscy. W bramie mineliśmy dyżurującego fizyka, który tylko machnął ręką, gdy usłyszał zapewnienie, że idziemy do muzeum.

Najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, że nie uciekliśmy wcale na lody, do parku czy do kina, co w końcu można by wytłumaczyć szczenięcym rozbrykaniem. W zwartym szyku podążyliśmy naprawdę do Muzeum Przyrodniczego, bardzo zresztą skromnego, gdzie królowały papierowe plansze i gipsowe rekonstrukcje. Na pewno był wśród nich szkielet tyranozaura, ale czy te eksponaty mogły nas wówczas zainteresować? Janusz zamierzał studiować ekonometrię, Jacek matematykę, ja wybierałem się na polonistykę. Nasza zuchwała wyprawa mogła się źle skończyć. Od czasu do czasu nawet w naszej dość liberalnej szkole karano surowo — dla przykładu. Mogli nas nie dopuścić do matury albo zawiesić w prawach ucznia. Nic takiego się nie stało, może właśnie dlatego, że do muzeum poszli wszyscy i że poszli akurat do muzeum?

A dziś myślę, że wcale nie chciałem spłatać figla polonistce, która oczywiście za mną nie przepadała. Podejrzewam raczej, że już wówczas wzywały mnie dinozaury — pierwszym nieśmiałym sygnałem dobiegającym z prehistorycznych czeluści.

## Kuchnia domowa i literatura

Iluż wyśmienicie gotujących pisarzy, iluz smakoszy gotowych po ciężkiej pracy za biurkiem docenić urok smakowitych przystawek, dań głównych i deserów. Iluż amatorów herbaty, wina, kawy i znacznie mocniejszych trunków. Ostatnio nawet historycy literatury zauważyli, że wielu twórcom arcydzieł potrzebny był do życia nie tylko papier i atrament.

O pisarzach wiemy już całkiem sporo, a co wiemy o kucharkach (wyłączając naturalnie tę chyba najślawniejszą, związaną z życiem i wielką powieścią Marcela Prousta)?

Przez pewien czas prowadziłem wzorowo dom, odkładając na bok literaturę. Gotowałem codziennie dla kilku osób, doświadczając na własnej skórze, z jakimi obowiązkami wiąże się to zajęcie. Nie, wcale nie przesadzam. Nie twierdzę, że praca literata

jest łatwiejsza czy mniej absorbująca niż czynności kuchenne. Nigdy też gotowanie nie wydawało mi się ważniejsze od pisania, choć dla większej części ludzkości pilnowanie garnków i przerzucanie posiłku na patelni ma zdecydowanie więcej sensu niż ślęczenie nad pustą kartką papieru.

Gdyby gotowanie ograniczało się do tworzenia, moglibyśmy porównać je nawet do układania wierszy, ostatecznie projektowanie kulinarnych kompozycji podobne jest do sztuki układania bukietów. Jednak gotowanie to również opieka nad całym kuchennym warsztatem, który niewtajemniczonemu skojarzyć się może z pracownią alchemika. To również kupowanie i wybieranie produktów, troska o ich odpowiednie przechowywanie, wreszcie — moment najbardziej bolesny — próba doprowadzenia do porządku całego rozgardiaszu, skoro uczta zakończona, ostatni goście rozeszli się do domów, zaś domownicy poszli na spacer albo na telewizję. Trzeba teraz pomyśleć o brudnych talerzach, przypalonych garnkach, zaplamionym obrusie, niedojezonych resztkach pieczenia i crème brûlée. Bo rano sztuce i naczynia znów powinny błyszczeć, bo rano wszystko zaczyna się od nowa.

Myślę, że gotowanie i rozmaite czynności mu towarzyszące nie pozostawiają domowym kucharkom zbyt wiele czasu na czytanie. A jednak zwykło się je uważać za miłośniczki książek, może niekoniecznie najwyższego lotu. Kiedy czytają opasłe powieści, jak radzą sobie z meandrami fabuły i różnymi komplikacjami wprowadzanymi przez czarne charaktery, dopiero w finale ujawniającymi prawdziwe intencje? Czy ich gust (a także możliwości) wpływają na rozwój jednych gatunków literackich i zamieranie innych?

Chociaż moja znajoma ma doktorat, to jednak ograniczone dochody nie pozwalają jej zatrudniać kucharki. Gotuje więc sama, czyniąc przy okazji mnóstwo pożytecznych spostrzeżeń.

Tłumaczy, że w obecnej sytuacji nie bierze nawet do ręki długich, epickich kompozycji — choćby wyszły spod pióra najznakomitszego autora, choćby i noblisty, choćby... Ceni sobie za to zbiory krótkich nowel albo esejów.

Patrz — mówi — zamieszam w garnku konfitury albo zupę, przeczytam jeden taki tekst, posiekam cebulkę (a siekając myślę już o tym, co przeczytałam i co jeszcze przeczytam), potem trzeba wsypać cukier i obrać paprykę. Przygotowałam obiad i mam za sobą pół książki, no, może trochę mniej. Dokończę jutro albo pojutrze...

Gdy zawodzą informatycy, lekarze, a nawet dziennikarze i prawnicy, możemy jeszcze liczyć na wytrwałę kucharki.

## Chińczycy w moim życiu

**K**iedy opowiedziałem, że uczyłem się chińskiego jeszcze w szkole razem z moją koleżanką, pewien pracownik Instytutu Badań Literackich i znany krytyk literacki okropnie się zdenerwował. Koleżanka była zresztą najprawdziwszą Chinką i miała na imię Kasia.

A potem wydałem *Dom chińskiego mędrca* oraz napisałem powieść *Zanim przyjdą Chińczycy*, w związku z czym uznano mnie za sinologa i nawet powierzono napisanie recenzji z rozprawy habilitacyjnej pewnego orientalisty, zresztą niezwykle sympatycznego.

Teraz pan Marek z Australii przysłał mi zaproszenie — kolorowy folder zachęcający do wyjazdu. „Win a trip to China to see the home of the terracotta warriors!” Właściwie jak wygram tę wycieczkę do Chin, to wstęp do muzeum terakotowej armii mam już prawie za darmo, bo za 20 dolarów (może nawet uda się kupić bilet zniżkowy za 15 dolarów, a to już prawie jak za wstęp do Muzeum Narodowego w Warszawie).

Terakotowa armia jest w rzeczywistości orszakiem pogrzebowym cesarza Shi Huangdi z dynastii Qin i pochodzi sprzed dwóch tysięcy lat. Odkopano ją jednak stosunkowo niedawno, bo dopiero w 1974 roku, około 30 kilometrów na wschód od miasta Xi'an, w środkowych Chinach. To miasto jest oczywiście dużo mniejsze od Szanghaju i Pekinu, ale większe od Berlina i Rzymu!

Wyobrażam sobie zdumienie archeologów, przyzwyczajonych do odnajdywania pojedynczych drobiazgów: naczyń, biżuterii, broni, kości. A najczęściej rozmaitych szczątków trudnych do złożenia w oczywistą całość, skazanych na byt cząstkowy i niejasny.

A tu nagle — wspaniale zachowane figury żołnierzy, konie, wozy. W sumie 7 tysięcy eksponatów jako tajemniczy znak (chińskich bogów? opatrności? ślepego losu?). Prowokujący współczesnych dar odnaleziony w epoce, gdy artyści przestali już malować czy rzeźbić wielkie i nieśmiertelne arcydzieła, a zaczęli snuć rozmaite koncepty i stroić miny wyglądając przez okno.

Ale może to właśnie są dzieła sztuki, a nie terakotowa armia, która — o czym przypomina pan Marek z Australii — była właściwie odpowiednikiem naszych śpiących rycerzy. Stoją — wcale nie posępni i nie smutni, z minami raczej pogodnymi, przyjmując bez buntu zarówno śmierć, jak i nieśmiertelność. Pan Marek dopisał w rogu folderka trzy słowa: „Kiedyś się ruszą?”

## Elementarz

**S**am nie wiem czemu, postanowiłem po latach powrócić do źródeł. Zacząć trzeba od samego początku, no — może nie od światła, nie od trzech pierwszych minut Wszechświata i nawet nie od dinozaurów. Zacznę od elementarza.

Niełatwo jest zdobyć prawdziwy elementarz, kiedy nie jest się pierwszakiem. Zresztą pierwszaki też go już nie mają — wprowadzono nowoczesne podobno i zalecane przez metodyków zeszyty do ćwiczeń, które tak się mają do elementarza jak pokraczne falsyfikaty do najprawdziwszej Księgi.

Trzeba więc pożyczyć, ale Marzenka nie ma, w Bibliotece Instytutu Badań Literackich nie mam odwagi zapytać, a Dorota na mój list nawet nie odpowiedziała, węsząc oczywiście jakąś niecną prowokację. Na szczęście wybrałem się do Moniki, która nie tylko przechowała elementarz, ale jeszcze zgodziła się go wypożyczyć. Jadę więc z Ursusa ze